

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



KORNEL MAKUSZYŃSKI

BEZGRZESZNE LATA

**WYDAWNICTWO TOWER PRESS
GDAŃSK 2001**

ROZMOWA Z ZEGAREM O BEZGRZESZNYCH LATACH

Czy też pamiętasz, stary mój zegarze,
Jak w słońce twojej tarczy patrzył żak
I marzył o tym, o czym ja dziś marzę?
Pamiętasz jeszcze?

O, tak, o tak, o tak!

Ode dnia do dnia, od chwili do chwili
Żyliśmy życiu mądrymu na wspak,
Godziny marły, a myśmy liczyli
Szczęście na wieczność...

O, tak, o tak, o tak!

A czy pamiętasz, filozofie stary,
Jakaś fałszywy mi wybijał znak
I wszystkie wokół budziłeś zegary,
Gdym pisał wiersze?

O, tak, o tak, o tak!

A czy pamiętasz, jak mnie rozpacz dzika
Zdjęła, gdy stary wziął cię Izaak,
Gdyś hebrajskiego uczył się języka,
By mnie nakarmić?

O, tak, o tak, o tak!

Lub ową chwilę gdzieś na czwartym piętrze,
Gdym gorejący, jak ognisty krzak,
Przysięgał z mocą uczucia najświętsze,
Klnąc się na księżyc?

O, tak, o tak, o tak!

Lub tę, gdyś starym swym zgrzytnął żelazem,
Słusznego swego gniewu dając znak?
O, jakże smutno płakaliśmy razem,
Gdy nas zdradziła!...

O, tak, o tak, o tak!

O, jak to dawno, Sokratesie stary!
Złamanym skrzydłem tłucze ślepy ptak...
Serca się psują, psują się zegary,
Wszystko umiera...

O, tak, o tak, o tak!

Ale raz jeszcze przypomnijmy wzloty,
Wracajmy myślą na gwiazdzisty szlak!

Cofnij wskazówki i lećmy w wiek złoty...
Niech żyje młodość!
O, tak, o tak, o tak!

Rozdział pierwszy

DZIECINNE ARGUMENTY SŁONECZNEGO PROMIENIA

W chwili kiedy się pochyliłem nad białą kartą papieru i zanim jej dotknąłem piórem, padła na nią smuga słońca. Jak rozigrane złote dziecko, co ma roześmiane oczy, przeszkadza człowiekowi zajętemu pracą, tak oto ten słoneczny błysk, co się oderwał od nieba, igra po moim papierze, po poważnej, sztywnej, pysznej ze swej białości karcie, włazi pod ostre, zirytowane, czernią atramentu płaczące pióro i w wielkiej ciszy mego pokoju – śmieje się, śmieje, śmieje...

Nakrywam tę złotą plamę dłonią – ach! – przeciekła mi przez palce i już jest na grzbiecie ręki; złym wzrokiem i złym westchnieniem odpędzam tego słonecznego motyla, lecz on wciąż powraca, przebiwszy w słonecznym locie zimno szyby okiennej.

O, jaka to pusta zabawa!

Nie mam czasu na igraszki ze słonecznym promieniem, zabłąkanym ze świata. Jestem pełen żalów i pełen goryczy. Oto drży pióro moje, jak żądło podniecone czymś osy, i mimo stu słonecznych promieni, choćby mi słońce każdą chciało wyłocić kartę, choćby się dzień słoneczny położył na moich papierzyskach i grał, i dzwonił złotem swoich promieni – pióro moje wbije się jak szpon w biel papieru i papier jęknie. Potem czarna, atramentowa krew długimi sznureczkami liter popłynie z zapiekłej rany.

Tak jest! Tak będzie! Czegóż tedy chcesz, utrapiony promyku słońca?

Uderzyłem pięścią w kartę papieru. Zadrzał złoty blask i – lśni się. Nie uciekł, przerażony, lecz jak złoty ptak zatrzepotał się razem z kartą i po chwili – beztroski, znowu śmiać się zaczyna i po papierze krąży, i śmieje się, śmieje, śmieje.

Daremna jest walka z pustotą.

Jestem jednak człowiekiem łagodnym, nie będę wiódł walki – z czym? z kim? – z mizernym promykiem! Czy uderzyłem kiedy roześmiane dziecko? Nie. Uczynię więc ustępstwo, niegodne dojrzałego serca, i będę się starał wytłumaczyć złotej swawoli, że jest niedowarzona, dokuczliwa i natrętna jak mucha. Pochylam więc twarz nad niecierpliwą i już bladą z pasji kartą i zbliżywszy usta do złotego blasku, co żywy i niespokojny wałęsa się po

niej, mówię szeptem:

– Miły promyku! Mógłbym cię zamordować jednym ruchem, potrzebnym na zasłonięcie okna, jednak tego nie uczynię, bo mi cię żal, jesteś bowiem dzieciak i żak, łobuz utrapiony, co na mój wiek nie zważając, wpada przez okno, jak szalony, buszuje po moim stole i płami złotem moje kartki papieru. Ale widzisz, dziecko słoneczne, żeś nie w porę tu przyszło. Przeszkadzasz mi i jesteś natrętne. Czoło moje jest zmarszczone i zmarszczone jest moje serce. Widziałeś pewnie, że na drzewie więdnącym kora się marszczy i boleśnie pęka? Oto spójrz, a jeśli to pojąć potrafisz, zrozumiesz, że tak więdnie we mnie serce. Oznacza to, że jest ono chore, bo je zgryzł czerw, zły i złośliwy robak smutku. Bo i jakżeż ma ono kwitnąć i szumieć radośnie weselem krwi, kiedy dokoła jest ponuro i smutnie? Kiedy wszystko dokoła napelnione jest troską i zgryzotą, a rozpacz siedzi opodal na gałęzi, jak sowa, co wróży śmierć? Przeto w tej chwili, kiedy tak nieopatrznie przyszedłeś, chciałem się właśnie uzalić nad sobą i pisać tak, aby każda literka moja miała okrągły kształt łzy. O, promieniu! Urodzony ze szczęścia, więc szczęśliwy! Nie wiesz, co to jest gorycz i żal, i utrapienie. Nie wchodź więc do umarłego ogrodu, w którym kwiaty powiędły i w którym ścieżyny zarosły są zielskiem złym i jadowitym. Tylko my, ludzie, którzy umieramy, znamy dobrze drogi na cmentarzach i przechadzki wśród grobów. Sprawia nam to dziwną, niepojętą dla ciebie przyjemność, bo ty podobno nigdy nie umierasz. Odejdź więc, stworzenie złociste, bo nic tu po tobie. Pozwól mi płakać i nie przeszkadzaj, bo chcę, aby moje umartwienie było piękne, nadobne i uwodzące. Ponieważ ja płaczę, więc chcę, aby razem ze mną płakali inni, jestem bowiem człowiekiem, a człowiek rad z bliźnim swoim podzieli się goryczą i łzami. Odejdź więc! Błagam cię, odejdź, bo cię zabiję jak bezbronny ptaka. Policzony jest mój czas i zegar mój jest nieumęczony, idzie, idzie wciąż uparty jak nieszczęście. Zbliży się noc, miła pora ludzi smutnych i bolejących. Odejdź, zniknij, bo się wyczerpie moja dobroć łagodna i nie będę mógł pohamować niecierpliwości. Wtedy, pióro chwyciwszy, przebiję cię na wylot i zginiesz złotą śmiercią, niemądry okruchu słońca, pusty roztrzępiancze, uśmiechu nieba...

– Nie uczynisz mi nic złego! – zaszeleścił wesoło promień.

– Na wszystkie ciemne potęgi! – zawołałem bez głosu – oto zapłata za moją dobroć. Ten żak słoneczny waży się na rozmowę ze mną! A skądże taki jesteś tego pewny, że ci nic złego nie uczynię?

– Znam cię! – odrzekła złota okruszyna. – Ty jesteś tym, który mnie kocha.

– Nie kocham cię i nie chcę cię widzieć. Jestem przeraźliwie smętny!

Złota jaśń zatrzepotała się jak motyl. Złoty uśmiech zamigotał na białej karcie.

– Twój smętek jest wart śmiechu!

– Mój smutek jest tragiczny...

– Smutek jest jak czarny cień, który rośnie i wydłuża się, i pusty jest jak cień. Nic łatwiejszego, jak odpędzić czarną zmorę cienia. Ale ludzie bawią się smętnym swoim cieniem, bo im się zdaje, że to ponura ich dusza wypełzła z nich i leży rozpostarta krzyżem na prochu ziemi. A ten smutny cień to jest pajac, co jak małpa naśladowuje człowieka. Cień oszukuje człowieka, swojego pana. Człowiek łatwo da się oszukać i smutek czyni z nim co zechce.

– Ach, co za mądrość! ach, jakie głębokości!

– Jestem mądry mądrością dziecka... Jestem mądrością radości. Radość wielkim jest mędrcom, bo radość stworzyła słońce i świat. Twój smutek niczego nie urodzi.

– Mój smutek jest piękny.

– Na świecie wszystko jest piękne, nie ma na nim nic brzydkiego, lecz najpiękniejsza jest radość.

– Promieniu, mówisz rzeczy banalne.

– Być może, bo mówię to od początku świata. Jeszcze świata nie było, a ja już śpiewałem o tym jak ptak.

– Jest to filozofia dla dzieci...

– Więc najwyższa i najczystsza. Jeślibyś umiał pisać tak, aby cię każde dziecko pojęło, byłbyś wielki. Ale tego żaden człowiek jeszcze uczynić nie zdoła, więc się nie martw. Dopiero za siedem tysięcy lat będą ludzie do siebie przemawiali tak cudownie.

– Ach, jakimież to słowami będzie śpiewała ta cudowna mowa?

– To nie będą słowa, to będą blaski. Ja będę w każdym takim dźwięku. Każdy dźwięk będzie złoty, ciepły i skrzydlaty. Taki jak ja. Za siedem tysięcy lat...

– Czemuż tak późno?

– Bo jeszcze dookoła ludzkiego serca jest gruba, twarda skorupa, myśl ludzka jest jeszcze ociężała i nie ma skrzydeł, jak poczwarka. Człowiek jest jeszcze ślepy i nie widzi złotego pyłu w powietrzu i jest jeszcze głuchy – nie słyszy, jak śpiewa i gra każdy atom, każde lśnienie i każdy pyłek.

– A ty to słyszysz?

– Ja sam dźwięczę. Wyteż słuch! Oto dźwięczę... Słyszysz?...

– Nie słyszę, zwodzisz mnie!

– Nie zwodzę. Ja nie mogę kłamać, tylko ty jesteś biedny i nieszczęśliwy. Już mnie widzisz, ale nigdy nie usłyszysz. Są jednak tacy, co mnie czują, nie widząc nawet. Ci są lepsi od ciebie.

- Któż to taki?
- Raz siedziała pod murem zziębnięta, ślepa, biedna dziewczynka. Przebiegałem właśnie ulicą, więc zatrzymałem się i położyłem się na jej ślepych oczach. Wtedy dziewczynka...
- Cóż ta dziewczynka?
- Podniosła rączęta do oczu, jakby mnie chciała schwytać. Poczula mnie, nie widząc... I stało się coś cudownego: to biedactwo się uśmiechnęło, a ja byłem szczęśliwy.
- Przeceniasz się, złota okruszyno...
- Nie! Jestem pokorny promień słońca. Czasem nie waham się i padam na brzydką kałużę, która się wtedy staje śliczna.
- Po cóż takie poświęcenie?
- Po to, aby było pięknie na świecie. Umieję jednak czynić rzeczy bardzo trudne i czarodziejskie. Chcesz mnie słuchać?
- Mów zresztą, bawisz mnie...
- Dobrze! Raz upadłem na serce straszliwego człowieka, który był zły, skąpy i okrutny. Ten człowiek uśmiechnął się po raz pierwszy w życiu i zaczął czynić dobrze.
- Możliwe!
- Ale to nic, to drobiazg. Wiesz, jaki naród na świecie jest najbardziej twardy i który ma duszę wyziębłą i nieużytą?
- Wiem, Anglicy.
- Tak, oni. Otóż raz, kiedy wielka mgła opadła, znalazłem się w Anglii, wesoły, wędrowny promyk. Tam spotkałem Anglika, który miał dobrą twarz i wesołą brodę. Podobał mi się, więc przez jego oczy wszedłem w jego duszę. Stało się coś niesłychanego. Ten człowiek stał się tak dobry, tak cudownie dobry, jak gdyby nigdy nie był Anglikiem. Mówił tak słodko, że ludzie, że nawet Anglicy mieli łzy w oczach. Ja to sprawiłem!
- Któż to był taki?
- Już umarł! Nazywał się Karol Dickens. Umiał rozmawiać nawet ze świerszczem, nawet z imbrykiem pełnym wody. Ogromnie go lubiłem.
- Przyznaję, że pięknie uczyniłeś.
- Bardziej jeszcze lubiłem jednak innego człowieka. Pochodził on z twojego kraju. Kochałem jego, a on kochał mnie. Ogrzałem każde jego słowo tak, że każde było do mnie podobne. O, jak cudowne serce miał ten człowiek! W duszy jego miałem gniazdko, jak ptak.
- Mów, mów... jak się nazywał?
- Bolesław Prus... Cóż to, uśmiechnąłeś się z rozrzewnieniem?
- Wszystko jedno... Znałeś jeszcze kogoś podobnego?

– O, wielu, wielu znałem takich ludzi. Ale tych dwóch najbardziej chyba lubiłem. Ach! Przypominam sobie... Jeszcze jednego kochałem. Pisał książki. Ja siadywałem mu wtedy na czole albo na oczach, albo na jego ramieniu i po obsadce pióra spływałem na papier. On się uśmiechał i piórem rozprawdzał mnie po białych karteczkach. Jak to on się nazywał? Aha! Edmund Amicis... Tak, tak się nazywał.

– Amicis!... I on cię kochał?

– Bardzo!

– I to ty pisałeś z nim te książki?

– Ja nie, ja nie umiem. Ja tylko czyniłem jasność dookoła albo ich zmęczone i smutne oczy ocierałem łagodnie, aby nie było na nich smutnego spojrzenia. Nie potrzeba przecie, aby wszyscy byli smutni i pełni goryczy. Pewnie, że tacy muszą być, co się gryzą w sercach, bo muszą walczyć z tym, co jest dla nich najstraszniejsze, z czarną nocą. To są niezmiernie wielcy ludzie. Wszyscy jednak tacy być nie mogą. Więcej potrzeba takich, co nauczają słodkiej miłości, co w dłonie umieją nabrać blasku, jak różanej wody, i niosą potem to złoto cudowne, i rozdzielają między najbiedniejszych. Ludzie są jak ta wynędzniała, zziębnięta i ślepa dziewczynka, której ja darowałem wielki dla niej skarb – uśmiech. Trzeba ich pocieszyć i ogrzać serca. Czy przyznajesz mi słuszność?

– Zastanowię się...

– I już mnie nie odpędzasz?

– Prawdę mówiąc, to jesteś stworzeniem wcale miłym i zabawnym. Więc tak bardzo nie znosisz goryczy?

– Umieram, gdy się znajdę w jej pobliżu.

– Łatwo tedy możesz umrzeć, gdyż moje serce jest pełne goryczy.

– Nie! ja przecież widzę twoje serce.

– Och! i myślisz, że kłamię?

– Nie kłamiesz, lecz się łudzisz. Twoje serce jest pełne miłości.

– Ach, banialuki!...

– Nie! to prawda. Spójrz w swoje serce. Patrzysz?

– Patrzę...

– Oto jest pełne miłości dla nieszczęśliwych. Rozrzewnione jest i smutne, ale dobrym, łaskawym smutkiem, że jest takie biedne, ciche i pokorne i nie może niedoli ludzkiej dać więcej niż wszystko, co w nim jest, nic więcej prócz uśmiechu. Widzisz?...

– Na Boga, nie widzę nic...

– Ach, tak! Nie możesz widzieć, bo ci zwilgotniały oczy... To dobrze! Zaraz z nich spłynie

wszystka czarność i wszystek mrok. Ty nie jesteś złym człowiekiem.

– Nie! nie!

– Jakże się cieszę!... Cóż to? Już masz oczy jasne? Uśmiechasz się?

– Cicho, cicho, promyku!

– Kocham cię za to... O, gdybyś wiedział, tobyś nawet udawał uśmiech, aby im ulżyć.

– Czy można ulżyć nędzy uśmiechem?

– Tak, uśmiechem pełnym tak słodkiej miłości, aby była słodsza niż chleb. Nędza i cierpienie jest największą zbrodnią świata i czymś tak straszliwym, że Bóg posmutniał.

– A ludzie?

– Ludzie wymyślili drugą hańbę: dobroczynność. Rzuca się kęs spleśniałego chleba i chce się za to iść do nieba. Więc wszystko na świecie prócz ludzi chce pocieszyć nieszczęśliwych: słońce, księżyc, wiatr, las i morze; gwiazda i kwiat, i ja, promień zabłąkany wśród rozpacz.

– Cóż mogę ja, człowiek?

– Mało, wiem, że mało. Możesz jednak uczynić, co ja czynię. Niewiele to, prawie nic, ale większą jest ofiara pokornego serca niż złota ofiara bogacza. Możesz iść moją drogą, tu i tam, i wszędzie.

– I choćbyś miał w duszy tysiąc zgryzot, a w sercu morze łez, znajdź jednak na jego dnie uśmiech.

Położysz go na spłakanych oczach, a uśmiechną się.

Położysz go na ustach spragnionych, a wyda się im jak kropla rosy.

Położysz go na serce zziębnięte i ogrzejesz je.

Pokażesz go duszy udręczonej, a ona na moment jeden zapomni o udręczeniu.

Uśmiechem miłości zapełnisz noc bezsenną i pełną zgryzoty, zetrzesz nim z warg ludzkich słowo przekleństwa.

Uśmiech jest wielkim szczęściem ludzi bardzo biednych, którzy sami już go w sobie nie znajdują. Uśmiech jest złotym dzieckiem miłości, a oni mają serca wyschnięte, już bez miłości. Trzeba im ją przypomnieć.

– Słowa moje są bez siły...

– A cóżeś ty, człeczyno mizerny, myślał, że tak potrafisz, jak tamci, o których ci mówiłem? Nie zdołasz... Znasz jednak drogę, którą szli?

– Wiem, od serca do serca.

– Tak, nie najgorzej pomyślałeś. Więc mów, jak potrafisz...

– Ale o czym?

– O czym? O wszystkim! Miłość jest wszędzie i we wszystkim. Uśmiech lata jak ja,

promień słoneczny. A serca ludzkie są niepoliczone. Opowiadaj bajki tym, których nawet bajka, sieroca, biedna bajka odbiegła, przeraziwszy się naszczekiwania złego psa zgryzoty. Lecz tylko całym sercem, całą duszą kochaj wszystko biedne i tą miłością napełnij tak słowa swoje, aby były jak pszczoły, słodyczą obarczone. I każ im lecieć, jak pszczołom, na wszystkie strony świata...

– Nie potrafię, boję się...

– Ach, człowieku utrapiony! Płakać potrafi z was każdy, tylko śmiać się nie potrafi!

– Ja już próbowałem.

– I nie udało się. To nie był uśmiech, lecz konwulsja. Teraz ja ci pomogę... Widzisz mnie?

– Widzę...

– Oto przebiegam karty twego papieru. Słyszysz, jak szeleszczą?

– Słyszę...

– Teraz spłynąłem na twoją rękę... Teraz wyżej... wyżej...

– Gdzie jesteś?

– Na oczach twoich. Co widzisz?

– Widzę złote koła wirujące...

– Co jeszcze? co jeszcze?

– Widzę miliony ludzkich oczu, które patrzą w pustkę albo są pełne łez.

– Co jeszcze? co jeszcze?

– Widzę głód, który kąsa, i śmierć, która zabija. Na pomoc, na pomoc!

– Nie, ty ich ocalisz... Spływam z oczu twoich, bobyś się przeraził.

– Gdzie jesteś, promieniu?

– Co czujesz, człowieku?

– Czuję słodycz w moim sercu i tkliwość tak rzewną, że jestem jak dziecko. Gdzie jesteś?

– Jestem w sercu twoim... I już cię nie opuszczę... Teraz pisz, bo zmrok zapada. Pisz o każdym pyłku nawet, bo wielka miłość pyłek w świat zamieni. Młodość jest pyłkiem słońca... O niej pisz, o niej...

Rozdział drugi

CIEŁĘCY ŻYWOT

Czytałem gdzieś o takim jednym, co życie miał tak ciężkie, że wołał umrzeć zaraz po urodzeniu. Nie miałem nigdy zdolności widzenia rzeczy przyszłych, bo urodziwszy się, zamyśliłem się głęboko, wreszcie, machnąwszy ręką, postanowiłem żyć dalej. Teraz dopiero widzę, że był to z mojej strony pomysł dość niefortunny. Tego samego zdania muszą być nieszczęśliwi czytelnicy moich książek.

Tajemne potęgi jednakże, które widzą przyszłość i znają zakryte losy przeznaczeń, ujrzawszy mnie na świecie, zadrżały. One jedne wiedziały, że się narodził potwór. Uczciwe te potęgi widocznie chciały mnie odwieść od nierozumnego zamiaru kontynuacji życia i próbowały mnie przerazić. W tym celu niedługo po moim urodzeniu spaliło się małe miasto, w którym się zjawiłem z niebytu. Paliło się ono przez kilka dni, co na mnie najmniejszego nie uczyniło wrażenia, o pożarze tym bowiem dowiedziałem się dopiero w kilka lat później, co już było poniekąd bezprzedmiotowe. Natura jednak i jej utajone moce, wciąż patrzące na mnie zezem, niechętnym i złym wzrokiem, wznowiły swoje wysiłki, aby mnie przerazić rozpetanym żywiołem. Rodzinne moje miasto stało, raczej waliło się, nad bystrą górską rzeką, która, przez owe ciemne potęgi podszczuta, raz w raz każdej jesieni i każdej wiosny wylewała straszliwie. Rzeka niosła domy i serty, belki i krowy, i najrozmaitszy sprzęt biednym ludziom potrzebny do życia. Patrząc na to rozpetane szaleństwo wody, każdy człowiek powinien zadrzeć w sercu nieulekłym. Przypuszczam, że ten cały rwetes i cała ta wściekła parada miała przede wszystkim na celu wywołanie piekielnego strachu w mojej duszy, o której natura wiedziała, że wyrośnie na potwora piszącego wiersze. Potężne te pomysły stale chybiały celu. Nie było bowiem wówczas dla mnie i dla moich przyjaciół, z których najstarszy – herszt, miał lat dziesięć, większej i wspanialszej zabawy jak taka wielka powódź.

Boże drogi! Gdzieś coś daleko ryczy, wścieka się, pieni i burzy; oszalała rzeka chwyta rękoma i zębami filary mostu, trzęsie nimi, podważa je, wykręca, wreszcie z wrzaskiem

radosnym lub z głuchym bulgotem zadowolenia łamie je lub wyważa, most pęka w stosie pacierzowym, drży z bólu, trzeszczy rozpaczliwie z męki, trzyma się kurczowo drewnianymi łapami brzegów, wreszcie zaczyna mu braknąć sił, omdlewa, aż się bezsilny wali na fale. Czyż to nie piękne? A czy to nie śmieszne, kiedy ludzie brodzą po ulicach jak kaczki, a w domach nie opodal od rzeki stojących mogłeś w pokoju, usiadłszy na komodzie, łowić ryby, jak Gawel?

W razie takiej wielkiej powodzi nie było mowy o chodzeniu przez parę dni do szkoły, wskutek czego słusznie uważaliśmy powódź za jedno z lepszych boskich błogosławieństw. Inne też bowiem, równie wspaniałe, były z takiej powodzi korzyści. Po opadnięciu wód można było w zagajnikach nad rzeką nachodzić rzeczy niebywale i zdumiewające, Bóg wie, skąd przyniesione: utopioną kurę, kołyskę, w której leżał pies, złamane krzesło albo pustą beczkę. Wszystkie te przedmioty nadawały się cudownie do umeblowania srogiego indiańskiego obozu, były to bowiem groźne czasy *Ducha puszczy. Pływającej wyspy* albo *Doliny bez wyjścia*. W łęgach nadrzecznych, skąpanych w słońcu, było wiele obozów indiańskich, rozmaite zaś szczepy wiodły z sobą walki srogie i pełne przemyślnych podstępów.

Najbardziej krwawym był jeden straszny chłopiec, który się po cywilnemu nazywał Staszek, a kiedy wstąpił na ścieżki wojenne, zwał się „Krwawy Byk”. Obóz jego plemienia mieścił się w „grocie”, która była głęboką jamą po wykopanej glinie, plemię zaś składało się poza wodzem z siedmiu drabów dziesięcioletnich; była to banda Komanczów, bardzo krwawa i bezczelna. Wódz ich zrobił na tej godności olbrzymi majątek, bo samych stalówek miał z rozboju kilka tuzinów, poza tym brał każdy łup: scyzoryki, ołówki, bułkę z masłem albo jabłko. Najbliższe plemiona, szczepy tchórzliwe, o sercach jelenich, haniebnie mu się opłacały za spokój i nieprzeszkadzanie w wielkich wojnach, dalsze jednak próbowały buntu i walki. Krwawy Byk dyszał zemstą i zapowiadał wyrżnięcie do ostatniej nogi szczepów wojowniczych. W jednym takim szczepie niepodległym byłem ja; nie odznaczałem się wprawdzie zbyt zapałem do walki, lecz uchodziłem za znawcę wszystkich zwyczajów indiańskich i języka.

Bóg świadkiem, że szczep mój nie chciał wojny. Wodzem naszym był dobry chłopczyzna, ale bardzo zezowaty i bardzo piegowaty, wskutek czego łatwo osiągnął godność wodza. Takiej gęby przeraźliwej nie można było chyba znaleźć wśród prawowitych Indian. Bez dekoracyjnego aparatu wodza chłopiec ten mógł swoją twarzą przestraszyć niejednego, cóż dopiero kiedy nałożył na rozmierzwniony łeb papierową obręcz, nadzianą kogucimi piórami, a w dłoń ujął straszliwy tomahawk drewniany, ale oblepiony srebrnym papierem i popstrzony

plamami czerwonego atramentu, co oznaczało krew „błędnych twarzy”! Ha! Straszliwie wyglądał ten wódz, kiedy zatoczył zezowatym wzrokiem! Najodważniejszym robiło się zimno. Całe szczęście, że kiedy który z poddanych czymkolwiek się zniecierpliwił i podniósł się do oreźnej rozprawy z wodzem, wódz zmiatał jak jeleń i już nie był straszny, bo z tyłu nie miał oczu. Może dlatego zwał się „Jeleń Rączy”.

Za ciasno było w chaszczach nad rzeką dla dwóch takich znakomitości, jak piegowaty Jeleń i jak Krwawy Byk, którego serce nieznośnie bolało, że nie ma takich piegów i musi twarz, chcąc ją uczynić dziką, smarować gliną albo sadzą, co trzeba było zmywać w chwili powrotu do domu i do cywilizacji. Stąd zapewne pochodziła ta głęboka nienawiść do naszego poczciwego wodza, któregośmy bardzo zresztą kochali, bo wśród wszystkich szczepów, ściślej i niepoetycznie mówiąc, w całej szkole nikt tak cudownie nie umiał podpowiadać, jak Jeleń Rączy. To był prawdziwy Indianin! Nie poruszał ustami, a wszystko słyszałeś. Musiał mieć jakieś niezwykle urządzenie w brzuchu.

Przychodzi raz do niego Indianin z jakiegoś pokrewnego szczepu i powiada:

– Antek! masz stracha?

– Albo co?

– Ja coś wiem, ale nie powiem.

– To po co mówisz?

– Bo mi cię żal...

Jeleń Rączy pobladł. Tylko sokole, bystre oko mogło wśród jego piegów dojrzeć oznaki bladości.

– Jak nie powiesz, to cię Pan Bóg pokarze.

– A dasz słowo, że nie powiesz, że to ja?

– Daję słowo!

– Honorowe?

– Potrójne! i jak Boga kocham, że nie powiem. Skupiliśmy się wszyscy, bo powiało tajemnicą.

– To ci powiem: Staszek chce cię zakatrupić!

– Jaki Staszek?

– Krwawy Byk!

Śmierć zaśmiała się głucho, tak że po nas poszedł dreszcz.

– Skąd wiesz?

– Bo myśmy podsłuchali ich naradę. Staszek chce cię wziąć do niewoli i zdjąć z ciebie skalp.

– Nieprawda!

– Jak Boga mego kocham! Myśmy słyszeli, jak on przysięgał na cienie ojca i na Wielkiego Ducha!

– Na Wielkiego Ducha też?

– Tak! Masz pietra?

– Ja się nikogo nie boję! – szcęknał zębami Jeleń Rączy.

– Nie gadaj! Bo ja bym się bał... Ten Staszek jest morowy, on nie przysięga tak sobie, z łaski na pociechę. Ty się pilnuj!

Zrobiło się cicho, gdyż zdradzone groźby Krwawego Byka były nalane krwią. Na lekcji w klasie nastrój był ponury, wielka tajemnica bowiem stała się już publiczną i wszystkie serca były pełne zgrozy. Wiedzieliśmy, że z Bykiem Krwawym żartów nie ma; był to dryblas ogromny, silny i miał długie, małe ręce, do tego zaś ojciec jego był krawcem. Trudno odgadnąć, dlaczego zajęcie jego ojca miało znaczenie dla wielkiej sprawy, faktem jest jednak, że i ono wniosło nieco niepokoju do naszych rozważań. Niezbadany jest bowiem tajemny splot zdarzeń.

Rozpoczęły się knowania, szelesty i szmery. W naszym wodzu ujrzeliśmy zupełny upadek piegowatego ducha, co zapowiadało nieszczęście. Był to chłopczyna serdecznie dobry i straszny nędzarz; żywił się, właściwie żywili go, suchym chlebem i zupą z czosnkiem bez żadnej okraszy i tylko w jakieś wielkie święto dostawał od przyjaciół bułkę, nasmarowaną masłem, za genialne podpowiadanie. Bułki tej sam nie zjadał, bo połowę odnosił swojej młodszej siostrze, miłemu stworzeniu, co mając siedem lat nosiła wodę ze studni, prała parcianą bieliznę i szorowała wylupiastą, wzdętą od wilgoci podłogę w nieszczęsnej izdebce. W szkole małego miasteczka wszyscy znają wszystkich i wszystko o sobie wiedzą; w dobrych, chłopięcych sercach ten chłopak budził rozrzewnienie nieświadome.

Zapowiedź srogiego nieszczęścia, co teraz nad nim zawisło, wielkie tedy uczyniła wrażenie. Jeleń Rączy nie jest zdolny do walki i skończy się ona dla niego sromotnie, podbiciem oka, rozbitym nosem lub czymś podobnym takim, co jednak było drobiazgiem wobec hańby, która mogła spaść na cały nasz szczep, na całą naszą klasę, na której nie było zmazy i w której nikt nie znał trwogi – to znaczy, nie znał trwogi przed byle Bykiem Krwawym – mowa jest bowiem o trwodze obrażającej poczucie honoru, a nie ma mowy o trwodze, rzecz można, zawodowej i sercu ludzkiemu przyrodzonej, przed giętką trzcina w domu i w szkole. Tego może się bać bez obrazy honoru sam Bonaparte. Daremną jest walka człowieka przeciwko kamiennej, serca pozbawionej tradycji, która z bohaterskiego ducha czyni niewolnika i czasem odwraca bohatera odwrotną stroną jego walecznego medalu,

przegina go na kolanie i w gwałtownym rytmie poniewiera jego człowieczeństwo, które – oburzone do głębi – wrzeszczy i wymachuje nogami.

W tym wypadku szło o honor ludzi wolnych, którzy nie mogli pozwolić, aby ich wodza, wybranego za wspólną zgodą, niegodziwie pobito. Wolny duch krzyknął w nas: nie pozwalam! Byliśmy rycerscy i wspaniali. Łatwo jednak krzyknąć: nie pozwalam! – ale jak nie pozwolić? Zadumały się przelękle nasze dusze i weszły w siebie, wszedłszy zaś, ujrzwały bezradnych matolów, nie wiedzących, co zrobić.

Instykt samozachowawczy, nieuświadomiony i wcale rozgarnięty dyplomata, podszeptał nam to, co zazwyczaj podszeptuje wielkim mężom stanu: związki i alianse zaczepno-odporne. Krwawemu Bykowi nie damy rady osobno, ale przecież mu damy radę razem. Największy bęćwał pojął to w lot i nie szczędził ofiar, aby nasz grecki partykularyzm związać w chwili niebezpieczeństwa w potęgę zwycięską. Polityka nasza owych czasów dlatego jeszcze przypominała politykę europejską, że za przymierza słono trzeba było płacić. Nie myślę, żeby mocarstwa brały z nas wzory pod tym względem, widocznie jednak już w małych chłopiętach kiełkują polityczne zdolności i brak złudzeń idealistycznych w tych sprawach jest zupełny.

Po rozejrzeniu się wśród indiańskich potęg, buszujących każdego popołudnia wśród nadrzecznych łągów, wybraliśmy cztery szczepy w łącznej sile piętnastu chłopca, razem z wodzami i synami wodzów, bo i takie urzędy też istniały. Jeden z wodzów miał wspaniały łuk i trzy strzały, bardzo pierzaste i dziko furczące w locie, który pożerał czasem odległość pięciu kroków. Wiadomo zaś, że z takiej odległości, przy dobrych chęciach strzelającego i przy równie wielkiej i życzliwej uprzejmości przeciwnika, który chce być zastrzelonym, można go trafić nawet w oko. Drugi z wodzów posiadał szczególną broń, ściągnięte z domu – obcęgi. Przyznaję, że na pozór nie jest to broń efektowna, jak armata na przykład, i zły wojownik nie wiedziałby zgoła, co począć w starciu z obcęgami. Nie było jednakże wśród nas złych wojowników, lecz Bayardy i Bonapartowie. Wiedzieliśmy, że w walce należy być lwem, ale trzeba czasem być lisem. O! Znaliśmy dobrze *Powrót Ulissesa do Itaki*, cudowną opowieść z obrazkami. Dla przemyślnego wojownika obcęgi są bronią okropną i straszliwą, bo pomyśleć tylko, co się dzieje z wrogiem, jeśli rycerz, uzbrojony w obcęgi, zajdzie go z tyłu i jak rak chwyci jego łydkę w kleszcze? Wróg drze się jak opętany i zdumiony nieznanym sposobem wojowania, haniebnie się poddaje. Obcęgami można by też wyrwać wrogowi wszystkie zęby po kolei, gdyby był tak uprzejmy i stał spokojnie przez godzinę z otwartą paszczą. Mówię „paszczą” – bo rzecz jest o wojnie.

Dwaj inni wodzowie zaprzyjaźnionych szczepów były to zwyczajne łapserdaki, którzy mieli, tak jak i my, tomahawki z drzewa, lwy jednak mieszkały w ich sercach. Nie to jednak

skłoniło nas do zawarcia z nimi przymierza na śmierć i życie, lecz względy nierównie głębsze. Do zwyciężenia wroga potrzeba nam było nie tylko brutalnej pomocy, o którą łatwo, przede wszystkim jednak trzeba nam było siły moralnej, potężnego zewu, głosu pioruna, na którego głos serca rwą się w piersi z okrzykiem: „Śmierć lub zwycięstwo!”

Oto jeden z wodzów miał taki piorun, miał taki przyrząd, takie narzędzie zaczarowane, na którego głos blednie śmierć, a zwycięstwo przybiega z okrzykiem. Wódz ten, zwany „Ponury Grzmot”, był synem miejskiego policjanta, ten zaś policjant miał bęben, który czasem grzmiał na rynku, jak salwa piorunów podczas wielkiej burzy; na jego głos zbiegali się przerażeni ludzie, a policjant wytlukłszy palcatami wspaniałe to muzyczne narzędzie, uciszał je, po czym wykrzykiwał w imieniu miasta, że pan burmistrz kazał, aby jutro wszystkie świnie w mieście były zamknięte, a nie wałęsały się po ulicach, bo przyjeżdża do miasta generał, więc aby wstydu nie było, bo takie ścierwo, co nakazu nie uszanuje, pójdzie do ciemnicy na dwie doby. Policjant ten to był Stentor, to był donośny herold miasta, a jego bęben szerzył poszanowanie i nieomal trwogę. Drugi bęben, jego syn, zabierał mu czasem bęben urzędowy i przynosił go do nas, do chaszczów nad rzekę. Wtedy się odbywał sąd ostateczny, gdyż każdy chciał bębnić, a sztuka polegała na tym, kto to uczyni najdonośniej. Na trzy mile wkoło ucichały przerażone wszystkie ptaki, ryby zdenerwowane ciskały się w rzece jak szalone, chrabąszcze spadały z drzew, święci Pańscy wyglądali z nieba, zatykając uszy, ze zgrozy pobladli, a drzewa szumiały w trwodze, nie mogąc uciec. Tylko nasze dusze, pełne piekielnej wrzawy, nurzały się w niej, pływały po niej jak po topieli. Wrogowie z innych szczepów zjawiali się na widnokręgu trwożni i płochliwi, lecz zahipnotyzowani potęgą grzmotu, przychodzili aż do jego źródła, oczarowani.

Ten to bęben potężny, dziwo świata, grzmot miasta, jego krzyczące sumienie, właściwa jego władza, bo burmistrza nikt się nie bał – został naszym sprzymierzeńcem. Kto miał ten grzmot w rękach, ten mógł być pewnym zwycięstwa. Nie można pognać Jowisza ryczącego grzmotem, a w rękę ściskającego pioruny.

Wiele nas to kosztowało. Sojusznik nie był głupi i znał czarodziejstwo tego instrumentu, przypinającego duszom skrzydła i dającego hart sercom; jak polityk wytrawny, godził się na przymierze odporne, a słuchać nie chciał o zaczepnym, dyplomacja zaś nasza zdążyła mądrze i słusznie do natychmiastowej zaczepnej wojny, aby wrogowi nie dać czasu na mobilizację i przygotowanie materiału wojennego. Chodziły bowiem głuche wieści, że Krwawy Byk ma znajomego z drugiej klasy gimnazjum, który ma stary pistolet; jeśli mu się udało zawrzeć z nim przymierze, bylibyśmy zgubieni. Jeden wystrzał rozpędził by potrafił całą naszą szkołę; liczyliśmy tylko na to, że Krwawy Byk będzie się sam bał wystrzału i pociągnięcia za cyngiel.

Mógł jednak strzelić i uciec. Wiedział o tym syn policjanta i bardzo się drożył. Stańło na tym, że zaprzysiągł pakt i zobowiązał się do wojny zaczepnej z ciągłym warczeniem bębna, pod ciężkimi jednak warunkami:

- 1) wojna nie mogła odbyć się we czwartek, gdyż tego dnia jest zawsze targ w mieście i bęben urzęduje wtedy z jego ojcem;
- 2) bębna nikt poza nim nie dostanie do rąk;
- 3) będzie na nim wybijał takt, jaki mu się podoba;
- 4) dostanie za to szesnaście stalówek, pięć ołówków, dwa scyzoryki, dwie tabliczki czekolady i książkę *Puszcza wodna w lesie*; jego wojownicy też zostaną obdarowani;
- 5) w razie wygrania wojny jeden z naszych wojowników nie ma prawa przeszkadzania mu w poślubieniu swojej siostry, która jest w pensjonacie i którą on uwielbia.

Ciężkie to były warunki, lecz trudno...

Ostatni warunek, który był zapowiedzią brzydkiego mezaliansu, bo siostra owa była baronówną, nieco nas zaskoczył, nie przypuszczaliśmy bowiem, że się smarkacz już chce żenić, ale to już jego sprawa prywatna. We wszystkich wielkich pociągnięciach politycznych czają się takie historie prywatne. Więcej nas bolały dwa scyzoryki niż baronówna, trzeba jednak było płacić. Bohaterski poryw szybko zgromadził okup za przyjaźń, wiedząc, że bez bębna nikt nie zwycięży. Wrzawa jest jednym z decydujących momentów w walce. Żydy wojujące w Starym Testamencie zawsze bardzo krzyczały, a już kto, jak kto, ale chyba Żydy dobrze wiedzą, co robią.

Obóz nieprzyjacielski, zdradę knujący, niczego się nie domyślał. Krwawy Byk był pewny, że napadnie na nie przygotowanych, zbyt zresztą dufał w imię swoje i w grozę budzącą swoją sławę. Zdrajców w naszym obozie nie obawialiśmy się wcale, bo wszyscy przysięgli tajemnicę, co nie było wprawdzie murowaną rękojmnią pewności, lecz do aktu przysięgi dodano klauzulę prywatną, że zdrajca zostałby pobity przez wszystkie szczepy w sposób niepomiarowany i na wieki wieków grozę i przerażenie budzący. To było cokolwiek pewniejsze.

O, Krwawy Byku! czarna nadchodzi na ciebie godzina. Będziesz niedługo miał żal do matki swojej, że cię urodziła. Sam chciałeś wojny, zły i przewrotny wodzu!

Na wielkim zgromadzeniu narodów czerwonoskórych, które się odbyło we czwartek, ustalono plan wielkiej bitwy. Tomahawki wojny postanowiono odkopać w niedzielę, zaraz po mszy studenckiej, wszyscy bowiem Indianie byli bardzo pobożni, a najweselszym było to, że na niedzielę przypadała kolej służenia do mszy na Krwawego Byka. Będzie przynajmniej jako tako przygotowany na śmierć.

Było to w początkach lipca, kiedy pachną lipy i z daleka czuć najśłodszą woń – wakacji. Wakacje pachną najpiękniej na świecie. Dorośli ludzie dlatego są nieszczęśliwi i zgorzkniali, bo nie chodzą do szkoły i nie czekają na wakacje.

Dzień był cały ze złota, wykładany niebieską emalią. Natura lubi takie dzikie paradoksy: w górze spokój błękitny i uśmiechnięty Pan Bóg, strasznie w lipcu dobry, a na dole burza w sercach i ponure nasze miny, bez uśmiechu. Jesteśmy cisi i poważni, bo sprawa jest ciężka. Termometr naszej odwagi podskoczył o parę kresek, bo się do nas zgłosiło na ochotnika kilku wolontariuszów, a wśród nich jeden słynny awanturnik światowej sławy, bo już raz uciekł z domu na Wyspy Robinsona, ale go złapali na następnej stacji. Robinsonadę wybili mu z głowy drogą okrężną, przez plecy, została mu jednak nieśmiertelna sława, krzemień do krzesania ognia i długi sznur. Przedmioty te ofiarował naszej sprawie.

Niech się wreszcie stanie, co się ma stać!

Wojna! Wojna! Wojna!

Śmierć i zniszczenie!

Śmierć Krwawemu Bykowi!

Zaszumiały głośno osiki, zawsze się zresztą czegoś bojące. Z wrzaskiem, jakby się dławiła, porwała się z gałęzi sroka. Komary bzykały jak karabinowe kule.

Śpiesznie szliśmy tam, gdzie obozowaliśmy i gdzie wśród wojennego tańca mieliśmy odkopać topór wojny. Miejsce to znajdowało się pod najgrubszym drzewem, w którym mieszkała sowa, więc było ono tajemnicze i budziło zgrozę.

Co to jest?

Na drzewie wisiał wycięty pajac z papieru, a pod nim przymocowana była kartka z kajetu z napisem: „Tak tu będzie wisiał z rozpaczy Rączy Jeleń, bo mu zabrałem tomahawk i orle pióra. Całuj psa w nos!”

Podpisano:

„Krwawy Byk, który się nikogo nie boi!”

Świat nam zawirował w oczach, bo większa obelga nie mogła spotkać wojownika. Zabrano nam święte symbole wojny. Spojrzeliśmy na Jelenia Rączego, Jeleń Rączy płakał. Biedny chłopiec tak bardzo był przybity, że się go nam uczyniło serdecznie żal; po okropnie brzydkiej jego twarzy, po niezliczonych piegach, z zezowatych, żalem przysłoniętych oczu leciały ciurkiem wielkie łzy. Całą radością głodnego jego życia było to, że się przez niesamowitość swojej twarzy dorobił godności wodza, a oto przyszedł zły chłopak, któremu on nigdy niczym nie zawinił, i podeptał jego cześć rycerską, wystawił go na hańbę, sponiewierał jasność jego duszy i słodycz jego serca, nadmiernie łagodnego.

Staliśmy jakby porażeni. Czuliśmy tylko jedno: wielki smutek, że Krwawy Byk nie jest wojownikiem rycerskim. Prawda, myśmy przeciwko niemu zawarli przymierze, ale to się równoważyło z jego siłą i bezczelnością; chcieliśmy go jednak zwyciężyć w walce otwartej, w której nie wiadomo jeszcze kto zginie? Może on, ale może i my?

Zresztą nie tak znów bardzo byliśmy pewni naszych sprzymierzeńców, którzy walczyć mieli kupieni, jak najemne wojska, kondotierzy. Podstępne jednak zabranie nam broni i uroczystej odznaki wodza było czynem brzydkim, tak bardzo brzydkim, że się jego rdzawe ostrze zwróciło właśnie przeciwko niemu. Sprzymierzeńcy nasi w istocie nie byli pewni i mogli byli tylko „markować” bitwę, w tej chwili jednak, zrozumiałwszy, że postępek Krwawego Byka był niegodny, i ujrawszy łyzy lubionego biedaka, naszego wodza, zawrzeli wściekłością. Za włosy, na niedzielę pięknie czymś wysmarowane i gładko uczesane, chwycił ich demon wojny i zatargał nimi. Zapłonęły oczy i ręce drząc poczęły. Niepewny sprzymierzeniec stał się zawziętym przyjacielem.

– Ty, Antek! – krzyknął syn policjanta – ja ci mówię, ty się nie martw! On tego ciężko pożałuje, miglanc jeden!

„Miglanc” znaczyło w owych czasach coś niezrozumiale obelżywego. Za takie słowo można było dostać ciężko po łbie.

– Ja nie płaczę, ale mnie wstyd...

– Co ci ma być wstyd? Ja ci powiem: ja już nic nie chcę za bęben, żadnych piór ani scyzoryków. Będę bębnił jak dla siebie, za darmo!

Armia osłupiała, po czym uczyniła wrzask tak radosny, że fala podniosła się na rzece.

Głupi Krwawy Byk! – Gdyby był wiedział, czego dokona swoją zdradą!

Zapał ogarniał szeregi, które nagle bez komendy zaczęły tańczyć taniec wojenny tak wspaniały, że wróble, nawołując się, zaczęły zlatywać się z najdalszych stron, aby to zobaczyć.

– Howgh! howgh! uff! uffi – krzyczeli Indianie. Jeśli krzyk ten dotarł do Krwawego Byka, musiało w nim zamrzeć serce i ściąć się w lód. On jednak go nie słyszał, bo upojony łatwym podstępem, ucztował ze swoim szczepem, „syn wodza” bowiem z godności, a syn cukiernika w stanie cywilnym, ściągnął ze sklepu swojego ojca prawdziwego i przyniósł „ojcu wodzowi” dwa słoiki truskawkowych konfitur. Cały szczep raczył się tym teraz i gnuśniał wśród słodczy; największa wojna nie była w stanie przerwać im oblizywania palców.

O, głupi!

Nie wiedzieli, że jak chmura gradowa, tak ciągnie ku nim nieszczęście. Nie! nie jak chmura, która gada grzmiotem i dudni, raczej jak wąż, co w trawach pełza bez szelestu i bez

śladu.

W jednej chwili załomotał piorun: to zagrał miejski bęben. Wściekł się, oszalał, dudnił, huczał, grzmiał, trzaskał; błądy strach krzyknął w łęgach i ucichł, jakby głos jego zabito uderzeniem noża. Za to uderzył w niebo krzyk inny, huczny, radosny, zwycięski. Te sprzymierzone szczepy, jakby z ziemi dokoła wyrosłe, grzmiały okrzykiem wojny, a jeszcze bardziej zdumionym krzykiem radości, że sprawa pójdzie tak łatwo: straszny Krwawy Byk, umazany krwią truskawek, miał w tej chwili minę śmiertelnie zdumionego cielęcia. Porwali się jego towarzysze do śmiertelnego boju, jemu zaś strach niezmierny odjął siły.

Za kilka chwil stał skrepowany sznurem słynnego Robinsona i przywiązany do pnia olchy; wojownicy jego, otoczeni, widząc położenie bez wyjścia – poddali się i przeszli na stronę zwycięskiego Jelenia Rączego. Zdaje się, że mieli nieco żalu do swego wodza za nierówny podział konfitur. Oto czego ten człowiek dokazał, walcząc podstępem z innymi i siejąc krzywdy wśród swoich!

Patrzył teraz ponuro, czekając na śmierć.

Ceremoniał indiański każe na nią czekać bez drgnienia, uśmiechem pogardy przyjmować drwiny wrogów i śpiewać, kiedy wróg zadaje męczarnie. Trzeba przyznać, że Krwawy Byk doskonale znosił nieszczęście; stał wyprostowany i choć był bardzo błądy, jednak z politowaniem się uśmiechał.

Jednakże raz drgnął. Drgnął, kiedy się do niego zbliżył nasz poczciwy Rączy Jeleń, a kiedy mu spojrział w oczy, Krwawy Byk opuścił powieki. Zawstydził się.

Trąciliśmy się łokciami, a syn policjanta uderzył triumfalnie w miejski bęben. To dobiło Krwawego Byka, wszystkiego się bowiem mógł spodziewać z naszej strony, tylko nie takiej parady i takiego wyekwipowania. Zadrzeć musiał w swej ponurej, krwawej duszy, bo olcha, do której był przywiązany, zadrżała.

Wojna była ukończona, jednak niezupełnie; pozostał wspaniały jeniec, z którym coś trzeba było uczynić, nie tylko dla manifestacji walnego zwycięstwa, tak piorunującego, że godne było Cezara lub Napoleona, lecz i ze względów dyplomatycznych, gdyż obezwładniony w tej chwili Herkules mógł się z zemstą swoją przyczaić w czarnej duszy, później jednak, uwolniony z więzów, każdemu zwycięzcy z osobna może połamać kości. Przed takimi owocami zwycięstwa należało się zabezpieczyć, mądrze i przezornie.

Odeszliśmy w gąszcz, aby odbyć naradę. Indiańskim zwyczajem milczeliśmy wszyscy bardzo długo, aby mądrość miała czas napływać do naszych serc, po dłuższej zaś chwili zapaliliśmy fajkę pokoju, kalumet, co było najwspanialszym momentem uroczystości.

Pierwszy, który ją zapalił, zakrztusił się mocno i łyzy goryczy pobiegły mu z oczu; drugi

przeżył te same rozkosze, dziesiąty z lekka zawył, ale palił, bo palili wszyscy. Była to straszliwa, brudna, zakopcona, stara faja, zamiast tytoniu zaś paliło się uschłe liście olchy. Specjał to był okrutny, toteż i wodzom, i wojownikom przerażone oczy wychodziły na wierzch.

Wielka Rada, która omal nie skończyła się wzajemną bijatyką, potężni wodzowie bowiem i równie wspaniali wojownicy nie umieli dotrzeć w kamiennym spokoju czerwonoskórych braci naszych z Ameryki, orzekła po długich rozważaniach, że jeśli Krwawy Byk złoży trzykrotną uroczystą przysięgę, że nigdy mścić się nie będzie, że nie poskarży się w szkole i że nigdy walczyć nie będzie podstępnie, będzie uwolniony z więzów i z bronią w ręku odejdzie do domu; aby jednak w jakiś sposób zaznaczyć, że jednak my zwyciężyliśmy, będzie mu zdjęty skalp z głowy, ale tylko na niby, on zaś w chwili zdejmowania mu fryzury z czaszki ma koniecznie zemdleć i krzyknąć: „Łaski, o czerwoni bracia!”

Warunki, jak widać jasno, nie były ciężkie, jakież więc było nasze przerażenie, kiedy usłyszawszy o nich, Krwawy Byk zaśmiał się głucho jakimś piekielnym śmiechem i prężąc więzy, zawołał:

– Wy psy parszywe! Tchórze i szakale! Każdy Ming i każdy Siuks jest dla mnie zdechłym psem. Wolę tu zginąć przy palu męczarni, niż was przeprosić! Mam serce bawołu i siłę byka, mego ojca! Precz mi z oczu, wy, serca jelenie! Howgh! Powiedziałem!

Uczyniła się śmiertelna cisza. Tak! Krwawy Byk jest strasznym wodzem, a serce jego nie zna trwogi! Potrafi umrzeć bez drgnienia. Zaimponował mi nadzwyczajnie, podszedłem więc ostrożnie ku niemu, bo groźny był nawet w więzach, powiadam mu pięknie i nadobnie:

– Krwawy Byku! My chcemy wszystko załatwić pokojowo i nie chcemy, abyś poszedł już na łowy do Wielkiego Ducha Manitou. W twoim wigwamie oczekują cię twoje niewiasty, które głód pożera. Któż dla nich upoluje bawołu, jeśli ty zginiesz? Twój szczep pójdzie w rozsypkę albo zacznie pić z rozpaczony ognistą wodę. Namyśl się, Krwawy Byku!

On spojrział na mnie dziwnie i powiada:

– Niech mój czerwony brat zbliży się do mnie tak, abym mu mógł coś szepnąć do ucha.

– Jestem, Krwawy Byku!

Pomyślałem, że robi tylko hece, bo tak potrzeba, a po cichu powie mi, że się poddaje. Zbliżyłem się więc z wielką ufnością i przyłożyłem ucho do jego ust. On nic nie powiedział, za to ja wrzasnąłem jak kot obdzierany ze skóry, gdyż Krwawy Byk ukąsił mnie w ucho.

Zgroza padła na wszystkich.

Łagodni zwycięzcy zdławili swoją wspaniałomyślność jak mizerne ptaszę; w sercach naszych zapiekła się krew, oczy nalały się wściekłością, dusze stały się z kamienia. Nie